Nr. 3 Krasny Staw, dnia 28-go lutego 1925 r. Rok I.

SPRAWY KULTURALNO-OŚWIATOWE

Dodatek do „Ziemi Krasnostawskiej“

Organ Sekcji Oświaty Pozaszkol. przy Oddz. Z. P. N. S. P. w Krasnym Stawie.

WYCHODZI DWA RAZY W MIESIĄCU.

Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił!

Adam Mickiewicz, Pieśń filarecka.

O kulturę wsi polskiej.

I.

Zdaje się, że zapatrzeni w ciasne podwórko spraw i interesów tej, lub innej partji politycznej, zapomnieliśmy ujmować wiele ważnych zagadnień, których mądre i szybkie rozwiązanie jest palącą potrzebą, z punktu widzenia ogólno-państwowego i ogólno-narodowego.

W rzędzie tego rodzaju zagadnień, na ich czele nawet, jako najważniejsza staje dziś przed nami sprawa oświaty i kultury naszych szerokich mas.

Nie znając dobrze warunków życia, poziomu intelektualnego i kulturalnego oraz potrzeb warstw robotniczych, wielkomiejskich, nie będę brał tych spraw pod uwagę; znam natomiast stan tych rzeczy na wsi i z myślą o niej tylko głos tutaj zabieram. O jednem tylko wspomnę z dziedziny życia robotniczego, mianowicie, że robotnik wielkomiejski jest ujęty w karby różnych organizacyj—mniejsza o to „lewych" czy „prawych", — i że jest to pierwszym, nie małej wagi etapem na drodze oświecenia i ukulturalnienia tej warstwy społecznej.

Rolnik nasz natomiast w większości swej chodzi jeszcze „luzem". Nie biorę tu pod uwagę organizacyj politycznych, istniejących na wsi, gdyż zdaje się, że jeszcze żadne stronnictwo ludowe nie postawiło spraw kulturalno-oświatowych na porządku dziennym swoich poczynań; nie widać przynajmniej dowodów tego, że się mylę, gdybym się istotnie mylił. Wprawdzie zginęła już owa odstraszająca mara, którą widział nasz wieśniak wszędzie, gdzie tylko trzeba było zapisać swoje nazwisko na jakiejś liście, mara, grożąca mu co najmniaj zabraniem go do wojska, odstraszająca go niegdyś również od organizowania się w celach oświatowych, zastąpiły ją na razie tak wybujała u nas, a tak na wsi jaskrawo występująca indywidualność (odrębność charakterów), zbytnia nadętość ambicji osobistych i warcholstwo oraz jeszcze jedna wada natury polskiej, brak skłonności do systematycznej, powolnej, na dalszą metę rozłożonej, zorganizowanej pracy, które to wady działają rozkładowo ,albo tamują i uniemożliwiają praoę w istniejących już związkach i zrzeszeniach.

Niezawsze wartko toczące się Związki Kółek Rolniczych, Związki Stowarzyszeń Spożywców, Związki Strzeleckie i Związki Kół Młodzieży Wiejskiej — oto, poza szkołą powszechną — powiedzmy sobie szczerze — niezawsze na należytym poziomie stojącą, jedyne placówki i ogniska kulturalno-oświatowe na wsi.

Nie powiem, że tych organizacyj jest za mało, za mało tylko ludzi w tych organizacjach, za mało jest umiejętnych i odpowiedzialnych kierowników, za mało tam wrzacej pracy.

Zabierając się do pracy nad przebudową, nad odrodzeniem wsi naszej, należałoby—wedle mego zdania — zacząć od podniesienia gospodarczego wsi przez szerzenie wiedzy rolniczej, przez wprowadzenie na wieś kultury rolnej. Sprawa podniesienia gospodarczego wsi jest nietylko potrzebą samej wsi, ale całego państwa, które większą część swoich dochodów ze wsi czerpie.

Pracy jednakże podejmowanej w celu zaradzenia tej potrzebie u nas za mało. Korzystając z artykułu Dra. B. Dederki, umieszczonego w „Siewie" № 4 z 25 stycznia 1925 r. p. t. „Szkolnictwo rolnicze w Belgji", pozwolę sobie zaznajomić Sz. Czytelników ze stanem prac, prowadzonych w tem państwie w celu podniesienia gospodarki rolnej do wyżyn kulturalnych.

We wszystkich tamtejszych szkołach powszechnych uwzględnione są, na mocy ustawy, wykłady z rolnictwa; wykłady te obejmują kurs najelementarniejszy i najważniejszych wiadomości rolniczych. Oprócz tego istnieją w Belgji liczne niższe szkoły rolnicze, do których uczęszcza młodzież po wyjściu ze szkoły powszechnej. Szkoły te mają charakter kursów zimowych, obejmujących szereg wykładów po 1—2 wieczory tygodniowo.

Jeden kurs zimowy składa się najmniej z 30 godzin traktujących o rolnictwie, tyluż o hodowli, z 10 godzin o rachunkowości (w rolnictwie bardzo ważnej) i zarządu oraz z 60 godzin zajęć praktycznych i wycieczek; razem więc 130 godzin. Do niższych szkół rolniczych zaliczyć też można kursy rolnicze dla wojskowych (żołnierzy). Kursy te trwają przez 4 miesiące po 2 godziny dziennie. Dotychczas w Belgji zorganizowano 10 rodzai uczelni. Oprócz szkół niższych, szkoły średnie obejmują w swoim programie przedewszystkiem zajęcia praktyczne, na wykłady teoretyczne przeznaczają mniejszą ilość czasu.

Nauka w tych szkołach trwa trzy lata, warunkiem przyjęcia jest dyplom 8-o letniej szkoły powszechnej.

Nawet w gimnazjach organizowane bywają dorywcze kursy rolnicze, składające się z 35 lekcyj. Kursy te są urządzane w celu zaznajomienia przyszłych rejentów, adwokatów, sędziów, lekarzy, inżynierów i t. p. z potrzebami wsi i rolnictwa. Usuwa to cały szereg przykrych następstw w późniejszem życiu społecznem tych ludzi, które wynikają z niedoceniania przez sfery umysłowo pracujące czarnej pracy wieśniaka; gdy z drugiej strony oświecony wieśniak zdaje sobie też dokładnie sprawę z ciężarów pracy umysłowej, to łatwo już na gruncie wzajemnego zrozumienia się i wzajemnego szacunku o zawiązanie i zaciśnięcie więzów solidarności społecznej.

Średnich szkół rolniczych Belgja posiadała ostatniemi czasy 37, kursów rolniczych przy gimnazjach 104 oraz 81 szkół niższych.

Widzimy więc, że państwo to pod względem szkolnictwa rolniczego może dla nas być wzorem, oraz że przy stanie kultury rolnej w Polsce i przy znikomej liczbie szkół rolniczych do zrobienia na tem polu mamy jeszcze bardzo wiele, tak, że ani bezczynnie z założonemi rękoma siedzieć nam nie wolno, (grzech to, wołający o pomstę do Boga!), ani w rozpoczętej pracy ustawać.

Pisząc o gospodarczem podniesieniu wsi naszej nie mogę pominąć sprawy naszego przemysłu ludowego, który po przejściu kryzysu gospodarczego, jaki przeżywa nasze społeczeństwo obecnie, winien zwrócić na siebie troskliwe oko szerokiego ogółu naszego społeczeństwa.

Nie wiem, jakie zmiany, zbawienne dla naszej wsi wprowadzi reforma rolna, która oby jak najszybcej wyszła z szufladek Klubów sejmowych na pełne słońca, woni i powietrza pola nasze, nie wiem, jakie ta reforma przyniesie dobrodziejstwo drobnym rolnikom, czy zmieni dotychczasowy stan ich nędznej wegetacji na lepsze, ale śmiem twierdzić, że przemysł ludowy, gdyby był jak najszerzej uprawiany przez tę biedną część naszego włościaństwa, mógłby jej być wielką dźwignią i pomocą na drodze do dobrobytu. Prace rolnicze zajmują naszemu wieśniakowi (mam tu ciągle na myśli rolników drobnych) czas wiosenny, letni i jesienny, zima, poza młocką, nie zapędza go do żadnych poważniejszych zajęć, ten właśnie czas zimowy, zmarnotrawiony w bezczynności, mógłby być wypełniony pracą, uprawianiem tej, lub innej gałęzi przemysłu

Jest nadzieja, że wspomniana reforma rolna powiększy drobne gospodarstwa i w ten sposób szczęśliwie rozwiąże stojące dziś przed niemi, jak widmo straszne: „być, albo nie być", ale nie wiem, czy może być nadzieja naprawienia w ten sposób doli licznej dość gromady bezrobotnych, tak zwanych wyrobników, grupujących się przy miasteczkach, żyjących z dnia na dzień, nie ostatnio jeszcze w lecie, w okresie żniw, ale już naprawdę nędznie zimą i na przednowku.

Przed tą częścią ludności wiejskiej staje coraz groźniejsze jutro. Robotnik miejski ma swoje związki zawodowe, polityczne, oświatowe, które go biorą pod opiekuńcze swe skrzydła, wiejski nasz wyrobnik jest izolowany od pozostałej części ludności wiejskiej; o związkach zawodowych niema tam jeszcze mowy, o oświatowych głucho zupełnie, dla nich niema szczęścia. Ten właśnie wyrobnik przedewszystkiem powinien wziąć w swe spracowane dłonie misję rozwoju przemysłu ludowego, temu właśnie wyrobnikowi instytucje społeczne i państwowe powinny, gdyby się podjął tej zbożnej pracy, przyjść z jak najdalej idącą pomocą moralną i materjalną. W wolnej i odrodzonej Polsce winno być jak najmniej nędzy, jak najmniej niezadowolonych; Polska, przeszedłszy piekło nędzy, ucisku i bezprawia, ma przez jej duchy przewodnie objawione posłannictwo szerzenia idei miłości i sprawiedliwości, ma być apostołką Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Gdy mowa o przyszłym rozwoju przemysłu ludowego, nasuwa się znowu sprawa szkolnictwa przemysłowego, którego nadmiarem dzisiaj nie grzeszymy wcale, owszem, grzeszymy i to śmiertelnie grzeszymy jego wielkim niedomiarem*). Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, istniejące w Warszawie (ul. Tamka 1), prowadzące kursy nauki kilku gałęzi przemysłowych, w zupełności zasługuje sobie na większe, niż dotąd, poparcie sfer rządowych i społeczeństwa.

Nie łudzę się nawet, że wyczerpująco potrafię omówić i definitywnie rozwiązać zagadnienie potrzeb gospodarczych naszej wsi, (jestem na to za młody umysłem i doświadczeniem), uważam jednak, że nie popełniam zdrożności, dzieląc się swemi refleksjami z ogółem, nawet starszym, w nadziei, że znajdę wśród niego umysły i serca życzliwe, które mię, jeżeli błądzę, ojcowską ręką na właściwą drogę naprowadzą. Wielkiby mię zaś spotkał zaszczyt, gdybym swoim skromnym artykułem wywołał dyskusję ludzi do omawiania tych spraw bardziej, niż ja, powołanych. Zaradzenie bowiem wszystkim bolączkom i wymaganiom gospodarczym naszej wsi leży na progu do innej pracy kulturalnej na wsi. Aby się nie bawić w ogólniki, należy mi powiedzieć, co rozumiem przez „inną pracę kulturalną".

Przedewszystkiem mam tu na myśli wprowadzenie wsi na wyżyny życia kulturalnego, przejawiającego się w najdrobniejszych codziennych szczegółach i wymaganiach. Powtóre, mam na uwadze zaznajomienie wsi naszej z dorobkiem umysłowym i artystycznym naszego narodu i ludzkości, poto, aby zasypać przepaść, dzielącą warstwy niższe od warstw tak zwanych wyższych, przepaść, wyżłobioną przez różnicę pojęć, horyzontów umysłowych, oraz różnicę umiłowań, poto, aby na wyższym poziomie mogły się zejść, zewrzeć i zjednoczyć wszystkie dotychczasowe warstwy, aby się stopiły w jedną nierozdzielną caliznę dusze w narodzie, oraz poto, aby wieś nasza była w stanie pod promieniami oświaty wydać ze swego łona jednostki zdolne i twórcze, któreby mogły dorzucić wiele złotych ziaren do miary naszej kultury narodowej, nadając jej piętno rodzime, wnosząc doń woń żywiczną lasów, barwę i ton naszych polskich łanów.

Czy do tego jednak lud nasz jest zdolny? Czy posiada w głębi swej duszy zarody zdolności twórczych? Na takie pytania, gdyby jeszcze ktoś był w Polsce, ktoby je mógł postawić bez obawy ośmieszenia się, można nie odpowiadać.

Zagadnienie podniesienia kultury śród mas nurtują głęboko w społeczeństwie Rosji porewolucyjnej, gdzie muzealnictwo naprzykład rozszerzyło się po wojnie kolosalnie, gdzie dokłada się wszelkich starań w celu zaspokojenia potrzeb w dziedzinie wydawnictwa książek, gdzie dla celów oświatowych i propagandy na wsi zaprzęga się tak wielką siłę propagatorską, jaką jest kino. (Patrz „Wiadomości Literackie" № 5 (57) R. II. artykuł „Kultura na usługach sowietów").

Józef Grudziński.

*) Niestety i do tych się nie garnie nasza młodzież. (Przypisek Redakcji).

W sprawie rocznic narodowych.

II.

Rozważając stanowisko, jakie powinniśmy zająć wobec rocznic narodowych, musimy uwzględnić ową głęboką przemianę, którą w każde drgnienie narodowego ducha wprowadziło zmartwychwstanie Ojczyzny. Przed czasem tego nieśmiertelnego kataklizmu dziejowego, który wydobył Polskę z czeluści niewoli na powierzchnię niepodległego bytu państwowego, rocznice narodowe inną odgrywały rolę w życiu narodu, niż dziś. Wówczas były one głosem pobudki, hejnałem czujności narodowej, mocą krzepiącą ducha. One cuciły mdlejących z upadku, w wątpiących zapalały wiarę, mężnych przerabiały w bohaterów, którzy śmiało na czoło narodu występowali, chociażby kij tylko przeciw armacie wyciągając. Wówczas rocznice narodowe były głosem protestu zbolałej duszy narodu, często głosem rozpaczy, wołającym o pomoc do swoich i obcych, a w rezultacie stawały się surmą bojową, która rwała nas w bój, nieraz nieopatrzny i dlatego niosący brzemię klęski zamiast triumfu zwycięstwa. A czemże są dziś rocznice narodowe? Czem są dziś w blaskach wolności narodowej i państwowo-politycznej? Diś są one w pierwszym rzędzie gorącą podzięką za trud i znój tych, którzy pracą rąk, czy nauką, czy wreszcie wyciągniętą szablą w obronie sponiewieranej wolności torowali narodowi drogę do lepszego jutra, tego szczęśliwego dnia wolności, którego powietrzem dziś oddychamy. Dziś rocznice narodowe są wyrazem czci, która tych pracowników i bojowników otaczać będzie niegasnącą aureolą, dopóki polskie serca bić będą. Dziś rocznice narodowe są hymnem radości z życia wolnej Ojczyzny. Są one przeglądem sił naszego ducha patrjotycznego, a zarazem powinny nam uświadamiać cały nasz dorobek w każdej dziedzinie naszej pracy społecznej i państwowo-politycznej nietylko, by upajać nas wielkością postępów, ale także dlatego, by i braki stawiać przed oczy, oświetlać je należycie z punktu widzenia środków zaradczych i co za tem w ślad idzie, by usuwać te braki naszego charakteru narodowego i brać się do pracy, gdyż jedynie tą drogą doprowadzimy nasz naród i państwo do najwyższego rozwoju i rozkwitu i zapewnimy im nieśmiertelność i potęgę.

Władysław Rząśnicki.

Kronika kulturalno-oświatowa powiatu.

(M—w.) Obchód styczniowy w Krasnym Stawie.

Dnia 16 lutego młodzież Gimnazjum Państwowego im. Wł. Jagiełły w Krasnym Stawie, a z nią tłumnie zebrani przedstawiciele inteligencji krasnostawskiej złożyli hołd i cześć bojownikom wolności Ojczyzny z r. 1863. Zebranych, nie mieszczących się w szczupłych murach największej sali Gimnazjum, wprowadziła w uroczysty nastrój kantata, odśpiewana przez chór uczniowski, kierowany wprawną ręką prof. Ostrowskiego. Po pieśni przemówił w słowach krótkich dyrektor Zakładu, Mieczysław Krukiewicz, dając ostry przekrój ducha społeczeństwa polskiego z Kongresówki w czasie 30-lecia od upadku powstania listopadowego i podczas powstania styczniowego. Ledwie przesunęła się przed oczywa ponura wizja cara-Nerona i świetlana sylweta patrjoty-powstańca z roku 63-go, zabrzmiał potężny HymnSłowackiego, wykonany jako śpiew-deklamacja przez młodzież. Potem szły deklamacje uczniów Pudełki i Jarockiego, przeplatane występami chóru, wreszcie przyszła kolej na odczyt ucznia Zygm. Simbierowicza i Rota Marji Konopnickiej.

Obchód skończył się. Zebrana publiczność leniwie opuszczała salę szkolną, w której przez godzinę dane jej było obcować z duchami najszlachetniejszych ze szlachetnych. Znak to, że całość osiągnęła zamierzony cel: oderwała od szarzyzny żywota, a skupiła w uroczystym hołdzie około tych, którzy wierzyli w zmartwychwstanie Polski wbrew wszelkim ludzkim rachubom i nadziejom i naprzekór temu wszystkiemu o tę Polskę się bili, za Nią i z Jej wizją przed oczyma ginęli.

Otwarcie Kursów Rolniczych.

W dniu 20 stycznia r. b. odbyło się w naszem mieście uroczyste otwarcie przygotowawczych Kursów Rolniczych. Konieczność stworzenia takich kursów na terytorjum naszego powiatu przez nikogo zaprzeczona być nie może. Projektował je swego czasu poprzedni kierownik Sejmiku, starosta Wielanowski, dzięki zaś zabiegom (chociaż nie wiem, czy takie były potrzebne, boć przecież nasza Rzeczpospolita, jako rdzennie rolnicza, sprawę tę powinna była rozumieć) starosty Krzyżanowskiego, a poparciu jej przez posła Wronę projekt stał się faktem i we wspomnianym dniu zapoczątkowano otwarcie tychże kursów uroczystem nabożeństwem w kościele parafjalnym w Krasnym Stawie, celebrowanem przez ks. prałata Malinowskiego, który w serdecznych i ciepłych słowach wskazał młodzieży jej zadania na przyszłość. W nabożeństwie wzięli udział przedstawiciele i delegaci władz miejscowych, był również obecny i poseł Wrona. Po nabożeństwie zebrali się wychowankowie szkoły i reprezentanci władz w sali Sejmiku. Tu wygłosili swe przemówienia do zgromadzonej młodzieży reprezentanci i delegaci wszystkich urzędów i władz tutejszych. Nasza młódź wiejska, przytomna tej chwili, z zapartym oddechem, łowiła słowa rzucane jej z serc do serc. Nastrój był uroczysty, jedynie formy zachowania są niektórych uczestników, zaczerpnięte— niewiadomo—czy z kuloarów sejmowych, czy też skądinąd, mąciły tę nastrojową chwilę. Stąd krótka uwaga .Panie p., a właściwie panowie, wstrzymajcie się w takich chwilach od palenia papierosów, przynajmniej w czasie odbywania się uroczystości, bo to co najmniej niekulturalne i dyskredytuje tę uroczystość.

Uczestnik.

(J. K.) Z życia Koła Młodzieży na Krak. Przedmieściu.

Koło Młodzieży na Krak. Przedm., aczkolwiek niedawno założone, bierze się energicznie do pracy. Posiada własną świetlicę, składającą się z 2 izb, które nie mogą podczas zgromadzeń pomieścić wszystkich członków (przeszło 100 osób).

Sekcja teatralna odbywa próby, chcąc wystawić wkrótce „Dziesiąty pawilon".

Zarząd organizuje kurs dokształcający dla członków Koła, w postaci wykładów popularnych, z zakresu literatury polskiej, historji, geografji, przyrody i matematyki.

Wykłady z literatury będą obejmować początki piśmiennictwa: Reja, Kochanowskiego, Skargę, aż do najnowszych czasów. Prowadzone będą w sposób pogadankowy i prosty, a odbywać się będą w niedziele, wykłady zaś z przyrodoznawstwa, historji i geografji w zwykłe dni tygodnia.

Z życia Szkoły Rolniczej w Krasnym Stawie.

Od kilku lat projektowana przez Sejmik Powiatowy Szkoła Rolnicza dnia 22 stycznia r. b. rozpoczęła rok szkolny mimo wielu braków, a przedewszystkiem braku internatu, który odgrywa tak ważną rolę w szkole tego rodzaju. Jedynie najważniejsze zabudowania gospodarskie są, ale i one pozostawiają jeszcze wiele do życzenia, gdyż np. obora zupełnie nie odpowiada wymaganiom szkolnym. Jednakże mimo tych trudności, a przedewszystkiem braku własnego lokalu na wykłady, które wskutek tego odbywają się w sali miejscowego Gimnazjum Państwowego, od godziny 3-ej po poł. do godz. 8-ej wiecz. praca wre, niektórzy słuchacze odbywają codziennie drogę aż po 12 km. w jedną stronę! Fakt ten mówi bardzo wiele, lecz jeszcze godniejsze uwagi jest to, że wśród słuchaczy mamy jednego gospodarza, liczącego około 40 lat życia, który, pracując z zapałem, daje nam bodźca do nauki.

Z ogólnej liczby zapisanych 52 słuchaczy uczęszcza obecnie 44, w tem jeden wyznania mojżeszowego. Cała szkoła podzielona jest na trzy grupy, które co trzeci dzień odbywają zajęcia praktyczne przy gospodarstwie szkolnem.

Personel nauczycielski w wykładach swych stara się, by każdy uczeń jak najdokładniej zrozumiał dany przedmiot, przyczem każdy z profesorów wyjaśnia, jakie zastosowanie podawana przez niego wiedza ma w rolnictwie.

Wykłady swe prowadzą dość zrozumiale, wyczerpująco i z zapałem, wskutek czego często nie zwracają uwagi na koniec lekcji, oznajmiany dzwonkiem. Jesteśmy za to dla nich z całym szacunkiem i nieraz mówimy, że gdyby we wszystkich szkołach, urządach i biurach pracowano z takiem poświęceniem, jak nasi profesorowie w Szkole Rolniczej, to naprawdę można by się spodziewać i to prędzej, jakby się zdawało, dobra ogólnego w Rzeczypospolitej Polskiej.

Na jednej z lekcyj odwiedził szkołę naszą starosta Krzyżanowski, przewodniczący Wydziału Sejmiku Krasnostawskiego i pilnie się przysłuchiwał, jak profesor, uczący chemji, zadawał pytania uczniom o połączeniu różnych ciał i kwasow. Bardzo nam zależało na tem, by dobrze wypadło, dlatego gdy ktory się zaciął, to z boku sypały się podpowiadania kolegów.

Wierzymy, że p. Starosta z tej jednej godziny wyniósł korzystne wrażenie, patrząc na rumieniejących się uczniów przy trudnej odpowiedzi, i że na przyszłość swoją powagą wpłynie na cały Sejmik, by jak najrychlej otworzono internat i ułatwiono uczniom naukę. Zanim się to jednak stanie, jesteśmy już ze swej strony bardzo wdzięczni Sejmikowi i Okręgowemu Związkowi Kółek Rolniczych za otwarcie szkoły, która stanowi dla nas wielki krok naprzód i która na przyszły rok, jak się spodziewać należy, ściągnie o 50% więcej uczniów, niż tego roku.

St. Ol.

Artykuł ten, napisany przez jednego z młodych rolników, uczniów krasnostawskich Kursów Rolniczych i list dołączony do Redakcji świadczą z jednej strony o budzącem się tak bardzo pożądanem zainteresowaniu się wsi naszemi „Sprawami“, z drugiej zaś o tem, że ta wieś zaczyna rozumieć należycie znaczenie szkół rolniczych dla siebie i kraju wogóle. To też Redakcja z całą przyjemnością wita go na łamach „Spraw“ i wyraża jednocześnie gorące życzenie, by inni młodzi rolnicy poszli w ślady p. St. Ol. i nadsyłali artykuły na temat potrzeb i zadań odrodzonej wsi polskiej, nadmieniając, że bardzo na czasie byłoby omówienie roli i znaczenia szkół rolniczych dla naszego kraju.

(*Przypisek Redakcji*).

Rok 1863

w KRASNOSTAWSKIEM.

Gdyby chodziło o przenośne określenie ziemi naszej rodzinnej, to trudnoby znaleźć lepsze nad to, jakie jej w zakończeniu „Irydjona“ dał Zygmunt Krasiński, nazywając ją „ziemią mogił i krzyżów“. Niema bowiem w Europie drugiego kraju, któryby był pokryty tyloma mogiłami rycerzy znanych i nieznanych, głośnych i bezimiennych, w którymby tak często, jak na naszej ziemi, wyorywano zbielałe kości jej obrońców i kości tych, co zapuszczali na niej swe łupieżcze zagony.

A kto się przez ziemię naszą w zapędach swych nie przemknął, kto nie kusił się o jej posiadanie, kto nie siał tu mordów i pożogi, kto wreszcie nie zaznał na swym karku ostrza obronnej szabli polskiej i razem z obrońcą nie kładł się do wspólnej pojednawczej mogiły? Bywał tu i ginął od miecza polskiego chytry Czech i brutalny zawsze Niemiec i chciwy Węgrzyn i wiarołomny Wołoszyn; zapędzał się, żądny łupu, i Rusin i Litwin, zanim zbudował z nami wspólny dom, i Tatar łupieżył i Turczyn i Moskal, ożeniony z Kałmukiem, a nawet zamorski Szwed i Duńczyk szukał u nas tego, czego nie zgubił.

Kto chciał i nie chciał, zapuszczał się w otwarte, ayzne granice naszej Ojczyzny.

A kiedy ta legła, przybita do krzyża niewoli, zaczęły na niej róść mogiły inne, mogiły powstańców. Tych mogił, może świętszych i droższych i czcigodniejszych, niż te z przed upadku Polski, jest na ziemi naszej kochanej bodaj najwięcej, z pośród nich zaś najgęściej rozsiały się te, w których spoczywają szczątki przedostatnich o wolność bojowników, owych najbardziej zdeterminowanych i najbardziej przez własną historję sponiewieranych powstańców roku 1863-go. Wszędzie ich pełno, jak pełno było wszędzie tych, którzy, doprowadzeni do rozpaczy bezprzykładnem w dziejach świata prześladowaniem carskich oprawców po upadku powstania listopadowego z jednej strony, a wpatrzeni w różową zjawę wymarzonej przyszłości z drugiej, z dubeltówką i pistoletem rzucali się na armaty, a z kosą lub kijem na karabiny. Nie brak ich było także w naszym powiecie, owszem widziano ich tu może częściej, niż w innych powiatach Lubelskiego, nie odznaczającego się naogół zbyt żywym ruchem powstańczym. Tem ciekawsza będzie dla ogółu mieszkańców Krasnostawskiego dowiedzieć się, a dla starszego pokolenia odświeżyć sobie wypadki, które rozegrały się w naszym powiecie, a które postaram się przedstawić poniżej, idąc śladem książki J. Grabca p. t. Rok 1863[1]).

Pierwsza wzmianka, z którą się w tej sprawie spotykamy we wzmiankowanej książce, dotyczy miasteczka Tarnogóry, której ludność, ulegając prądowi manifestacyj, panujących w kraju od drugiej połowy roku 1860, a przypieczętowanych krwią 5 poległych na ulicach Warszawy w dniu 27 lutego 1861 roku, w sierpniu tegoż roku, rzuciła się pod przewodnictwem swego burmistrza na nauczyciela miejscowej szkoły, podejrzanego o szpiegostwo, zniszczyła jego mieszkanie, a nad nim samym znęcała się w nielitościwy sposób[2]).

Druga wzmianka zkolei odnosi się do wypadku o zwyż rok późniejszego, mianowicie zaznajamia nas z męską postawą krasnostawskiej Rady Powiatowej, czy Miejskiej (bo można i tak rozumiec i tak), która w związku z ogłoszoną przez margrabiego Wielopolskiego bezprawną branką młodzieży mieszczańskiej i z inteligencji zawodowej podobnie jak, Rada Pow. Hrubieszowska i inne, odmówiła wysłania przedstawicieli do komisji poborowej i jednocześnie zażądała, by rekruci, pochodzący z Królestwa, odby-

---

[1]) J. Grabiec rok 1863 Wyd. II. Ponań 1922. Księgarnia K. Rzepeckiego. Cena 9 zł. 60 gr. [2]) Str. 98.

Na marginesie książek.

Smutna książka.

Nie znam narodu i nie wiem, czy potrafiłby mi kto wskazać drugi taki naród, któryby mógł być równie dumny ze swych dziejów, jak my, a jednocześnie czuć się równie zawstydzonym wobec niektórych kart z tychże dziejów, — jak my. Zdaje się, że próżnoby szukać gdziekolwiek analogji, bo zgoła niebywały jest fakt, że tuż obok momentów najbardziej krzepiących i radosnych, razem i równocześnie z niemi, w jakiemś niezrozumiałem pobrataniu, występują momenty najbardziej przygnębiające, bolesne.

Skoro tak, to niema zapewne i drugiej literatury historycznej, czy pięknej, na kanwie historji dzierganej, któraby tyle, co nasza literatura, zawierała książek od początku do końca i nawskroś smutnych, bądź takich, w których radość i smutek dziwnie się z sobą plotą, jak dwie nici, złota i czarna, przewijają, budząc we wrażliwej duszy współczesnego Polaka coś, co się czuje, nad czem się boleje, zębami zgrzyta, co rumieńcem wstydu oblewa, ale czego nie można nazwać żadnym ze znanych wyrazów, czy wyrażeń.

Gdyby chodziło o dowód ogólny, wskazałbym palcem pierwszy lepszy krytyczny podręcznik naszej historji przedrozbiorowej, rozbiorowej (tej szczególnie) i porozbiorowej, gdyby zaś to nie wystarczyło, rzuciłbym na dowód sienkiewiczowskie „Ogniem i mieczem" i „Potop", nad który niema smutniejsze u nas książki, a dalej wymieniłbym monografje naszych powstań, w których wspaniała wielkoduszność szła o lepsze z podłą małodusznością, zapał, energją i wiara z ospalstwem, znieczuleniem duchowem i niewiarą, mądrość i cnota z głupotą i nikczemnością, — wreszcie przytoczyłbym najnowszą książkę zasłużonego monografisty-historyka, Artura Śliwińskiego, o naszej chlubie narodowej i kochanku narodowym: Janie III Sobieskim[1]).

Zaliczając tę książkę do rzędu książek smutnych, wywołam u niejednego z Czytelników niemałe zdziwienie, a może nawet żachnięcie się na samą myśl. A jednak tak jest: książka Śliwińskiego o Sobieskim wbrew temu, co się o tym królu, ostatnim rycerzu w starym, dobrym stylu, i genjalnym wodzu wie i myśli, jest książką smutną i to nietylko ze względu na ludzi Sobieskiemu współczesnych, a wielce nieraz niezaszczytną rolę w życiu publicznem odgrywających, ale i ze względu na niego samego.

Rozczarowanie więc!... Tak, i to tem większe i boleśniejsze, że nim się go dozna, a raczej nim się wkradną do duszy pierwsze jego zarodki, czyta się w przedmowie do książki słowa, które nawet

[1]) Artur Śliwiński: Jan Sobieski, wyd. M. Arcta w Warszawie 1924. Cena 20 zł.

---

wali na przyszłość służbę wojskową w kraju[1]).

Tyle tylko dowiadujemy się z Grabca o Krasnostawskiem z czasów, poprzedzających wybuch powstania. Szczupłe to są nadzwyczaj informacje, w każdym jednak razie rzucają one znamienne światło na nastrój tutejszego społeczeństwa, światło zewszech miar piękne. Że był zaś to nastrój szczery, że wrogi stosunek do wroga płynął z głębi duszy, świadczy o tem fakt, iż zaraz po wybuchu powstania powstał w Krasnostawskiem zbrojny oddział, uformowany przez lekarza z Dubienki, Dra Neczaja[2]), rodem Rusina, i Kazimierza Bohdanowicza, dzierżawcy z Łowczy pod Łęczną. Tym dwom patrjotom przypadło w zaszczytnym udziale ożywić w drugiej połowie lutego stłumione narazie w województwie lubelskiem powstanie. „Do boju wystąpiły tam — pisze kronikarz powstania styczniowego, Grabiec — dwa oddziały: krasnostawski z 250 piechoty i 30 jazdy, pod wodzą znanego nam już[3]) Kazimierza Bohdanowicza, dzierżawcy z Łowczy pod Łęczną, i hrubieszowski, koło 200 ludzi liczący, pod wodzą lekarza z Dubienki, Dra Neczaja, rodem Rusina. Oba oddziały były dobrze uzbrojone i jednostajnie ubrane w czarne czamary, skórzane pasy i konfederatki — piechota, a w granatowe kurtki — jazda. Piechota uzbrojona była w strzelby myśliwskie, niektórzy i — kordelasy. Karabiny z bagnetami w małej tylko znajdowały się ilości. Jazda miała lance, szable i pistolety. Oba oddziały trzymały się blisko siebie. Instruktorem wojskowym był oficer z czasów Konstantego, Radziejowski. Przeciw tym oddziałom, na wieść o zabraniu kasy przez Bohdanowicza w Łęcznej, ruszyły 3 roty piechoty z pół sotnią kozaków. Doprowadzony przez chłopów pod sam obóz, nieprzyjaciel pod Rudką wpadł na partję Bohdanowicza. Porozumiawszy się z Neczajem, Bohdanowicz przyjął bitwę i uderzył na Moskali. Powitani celnym ogniem, powstańcy zachwiali się. Widząc to, nieprzyjaciel rzucił się na bagnety; powstańcy, nie mając kosynierów, nie zdołali się oprzeć i cofnęli się do lasu, gdzie pod naciskiem kozaków i piechoty odwrót zamienił się w bezładną ucieczkę, wśród której ponieśli Polacy straty ogromne. Mimo, że strzały na tyłach Rosjan zwiastowały przybycie Neczaja, żadna siła nie powstrzymała uciekających w panicznym strachu powstańców, których Bohdanowicz zdołał dopiero pod wsią Zozulinem jako tako uporządkować. Pozostawiona sobie partja Neczaja, upadła na duchu na widok bezładnie pierzchających żołnierzy Bohdanowicza i na wieść o klęsce jego, również nie była w stanie wytrzymać ognia rosyjskiego i w ucieczce szukała ocalenia, ścigana i mordowana przez Rosjan bez litości.

W tydzień później Bohdanowicz, odłączywszy się od swej partji, został schwytany przez podjazd kozacki, przywieziony do Lublina w triumfie w dniu 6 marca z wielką ostentacją rozstrzelany, a resztki partji jego zniszczone pod Zozulinem zupełnie. Na parę dni przedtem pod Żalinem w Krasnostawskiem partja Neczaja, osaczona przez przeważające siły rosyjskie z jazdą i artylerją, po bohaterskiej obronie została niemal kompletnie wymordowana, 150 trupów legło pod kulami, kartaczami, lub bagnetami i szablami rozjuszonych oporem Moskali, a ledwie 22 z Neczajem wzięto do niewoli[1]).

Bohaterski lekarz, szlachetny wyznawca idei unji lubelskiej, duchowy brat tych Rusinów, co się pisali: natione Polonus, gente Ruthenus, przypłacił wierną służbę tej idei śmiercią, rozstrzelany w dniu 19 marca r. 1862 na rynku w Krasnym Stawie[2]).

[1]) Str. 165. [2]) Str. 189. [3]) jako męża zaufania Organizacji Narodowej na Lubelskie (wraz z Neczajem).

1) Str. 209—210. [2]) Str. 210.

najobojętniejszego Polaka muszą wprawić w szczery zachwyt i podziw. Bo i jakże obronić się tym miłym nadwyraz uczuciom, gdy się dowiadujemy, że francuski historyk ks. Coyer w swej dwutomowej „Historji Jana Sobieskiego", wydanej już w r. 1762, „acz wypowiedział niejedną krytyczną a trafną uwagę, złożył Janowi III hołd jako królowi, „który rządzić i bronić potrafił", a posiadał „najwyższe cnoty tronu", jak oprzeć się uczuciu dumy narodowej i uwielbieniu „ostatniego w niepodległej Polsce bohatera", gdy inny pisarz francuski, Narcyz de Salvandy, na tle entuzjastycznej charakterystyki wielkiego potomka hetmana Żółkiewskiego wypowiada takie, pełne bezgranicznego uwielbienia zdanie: „Wielki obywatel, wielki mówca, wielki wódz, wielki monarcha, był najbystrzejszym z ludzi, jacy kiedykolwiek żyli".

Ale niestety niedługo naszej radości i dumy! Oto o kilkanaście wierszy niżej odsłania się przed naszemi oczyma rzecz, której śmy się przed chwilą jeszcze zgoła nie spodziewali, a którą „niedobra" ręka operującego umiejętnie kontrastami mistrza-historyka w tajemnicy przed nami, jakby dla zaskoczenia nas, planowała. Jakoż z niemałą niechęcią czytamy już słowa monografisty, że oparte na bogatym materjale źródłowym dzieło Tadeusza Korzona p. t. „Dola i niedola Jana Sobieskiego", „daleko odbiegło od entuzjastycznych zachwytów Salvandy'ego", szczere zaś przygnębienie nas ogarnia, gdy tuż niżej na takie oto słowa wzrok nasz pada:

„Dziś, w świetle ogłoszonych materjałów i badań historycznych, czyny oręża Sobieskiego nie przestają budzić podziwu. Ale jego rola w dziele poprawy narodu, jego dyplomacja i polityka nie pozwalają zgodzić się na opinję, która wyniosła Jana III na szczyty cnót obywatelskich i uczyniła z niego skończoną doskonałość. Sobieski jako obywatel i statysta nigdy nie dorównywał Sobieskiemu-wodzowi. Jego zadziwiający genjusz wojenny, jego zalety rycerskie nie szły, niestety, w parze z tęgością charakteru w życiu publicznem, z bystrością umysłu na gruncie intryg i matactw dyplomacji; jego siła woli, przełamująca największe trudności w obliczu nieprzyjaciela, jego nieustraszone męstwo i lwie rzuty na placu boju nie miały odpowiednika w rozstrzyganiu zawiłych spraw politycznych, w śmiałej decyzji i w wyborze dróg, prowadzących zwycięsko do świadomie wytkniętego celu. Genjusz wojny nie miał w sobie nic z genjuszu polityka i dyplomaty".

Kto przeczytał te słowa z należytą uwagą, ten z pewnością nie będzie się już na mnie zżymał zato, żem omawianą książkę o Sobieskim nazwał smutną: przeciwnie, sam ją tak nazwie, już na podstawie tej ogólnej, wstępnej charakterystyki, i będzie zaciekawiony, podobnie jak i ja po przeczytaniu jej, jakie to były przesłanki, na których surowy historyk oparł swój bezwzględny wniosek. Jeśli moje drugie przypuszczenie jest słuszne, to osiągnąłem w całej pełni cel, który sobie w niniejszej notatce zamierzyłem, a którym jest nie co inne-

---

Tak kończy się w Krasnostawskiem pierwszy okres powstania, kierowany ręką Komitetu Centralnego i Czerwonych, a trwający od owej nocy z 22 na 23 stycznia do drugiej połowy marca 1863 roku. Kończy się smutno, bo porażkami, tem dotkliwszemi, że obie partje t. j. „Bohdanowicza i Neczaja miały wręcz uniemożliwione ruchy wskutek zajadłego szpiegostwa i wrogiej postawy chłopów" oraz że „w Krasnostawskiem chwytanie poszczególnych powstańców było na porządku dziennym, że w całym szeregu dworów chłopi samowolnie powiązali służbę i dziedziców, odstawiając ich do władz, gdy zauważyli przygotowania powstańcze i że wogóle rosyjskie oddziały miały zawsze gotowych przewodników z pośród chłopów„[1]).

Jakżeż ciężkie musiały z tego powodu być ostatnie chwile naszych obu bohaterów!...

W drugim okresie powstania, prowadzonego pod hasłem „Durez" (Wytrwajcie!) w nadziei wywarcia nacisku dyplomatycznego, czy nawet interwencji wojskowej ze strony państw zachodnioeuropejskich na Rosję, błyskawica powstania znowu kilkakrotnie rozdarła spokojne niebo powiatu krasnostawskiego.

Po raz pierwszy (w tym okresie) błysnęła ona w połowie kwietnia 1863 r. nad lasami pod Borowem, gdzie studniarz-pułkownik, Lelewel-Borelowski, na czele partji złożonej z 350 ludzi, „stoczył uporczywą czterogodzinną bitwę i z cudem zdołał wysofać się z matni, zę stratą 70 zabitych i rannych"[2]).

Potem walka na jakiś czas przycicha w Krasnostawskiem. Dopiero z końcem lipca przychodzi do pomyślnej potyczki pod Fajsławicami, a początkiem zaś sierpnia do strasznej klęski pod Częstoborowicami, którą autor „Roku 1863" tak opisuje: „Ciężko jednak wkrótce Moskwa zemściła się za tę klęskę[3]) — pod Częstoborowicami. Oddziały Jankowskiego i Zielińskiego, dążące ku granicy galicyjskiej po odbiór broni i mające między sobą przeszło 250 bezbronnych ochotników, znużone śmiertelnie forsownym marszem, zostały znienacka napadnięte tu przez Rosjan w sile 3 rot piechoty i 220 jazdy i 2 dział. Cofnąwszy się w nieładzie, powstańcy rozpoczęli walkę z piechotą i kozakami, bezbronni zaś ochotnicy tymczasem, odłączywszy się w ucieczce od oddziału, zostali co do nogi wymordowani. 350 trupów polskich zaległo pobojowisko"[1]).

Z początkiem roku 1864 widzimy Krasnostawskie znów w ogniu. Tym razem płonie ono w połaci południowo-wschodniej, w gminie rudnickiej. Wybuch jego i przebieg tak opisuje J. Grabiec: „W tydzień później (po klęsce parczewskiej, którą poniosły partje Ponińskiego, Ejtminowicza i Leniewskiego, 14 stycznia, pod Wolą Skromowską został pobity Marecki, 17 stycznia pod Starą Wsią w Hrubieszowskiem została doszczętnie zniesiona konna partja hr. Komorowskiego. Wreszcie w dniu 24 stycznia pod Suchem Lipiem w Krasnostawskiem, Marecki, który po klęsce starowiejskiej rozpuścił na urlopy dla głębokich śniegów piechotę i z setką jazdy rozpędzał straże wiejskie, został napadnięty przez przeważające siły dragonów. Otoczeni znienacka przez wroga powstańcy zamknęli się w wielkiej owczarni folwarcznej, gdzie w chwili napadu wypoczywali i karmili konie. Stamtąd razili nieprzyjaciela celnemi strzałami, aż wreszcie Moskalom udało się podpalić owczarnię. Wówczas siadłszy na koń, Polacy usiłowali się przedrzeć, co ledwie 85 się udało. Reszta zaś z Mareckim legła na placu. Koło tego czasu schodzi z pola Walery Wróblewski. którego pod Rudą Guzowską napadła sotnia kubańców pod wodzą zaprawionego w walce czerkiesa Zankisowa. Porąbanego Wróblewskiego z trudnością udało się ocalić i wywieźć za granicę. Na drugi dzień tenże sam Zankisow pod Brzostówką zniósł doszczętu resztki partji Ćwieka i Leniewskiego. W dzień później pod Żulinem zniesieni zostali Grzymała i Lutyński. W lutym

[1]) Str. 225. [2]) Str. 239. [3]) Pod Sławatyczami na Podlasiu, gdzie odznaczyli się kosynierzy.

[1]) Str. 298.

go, jak właśnie, by zachęcić do przeczytania tego wielce pouczającego i z wielkim przepychem wydanego dzieła i do wysnucia z niego odpowiednich dla dzisiejszej chwili dziejowej wniosków.

By zaś ta pokusa (do przeczytania) stała się jeszcze trudniejszą do odparcia, oraz by Szanowni Czytelnicy mogli upewnić się w przekonaniu, że sąd Śliwińskiego nie jest paszkwilem, co więcej, by się zorjentowali, ile w tem, że Sobieski był taki, jaki był, jest winy poza nim, w jego otoczeniu, czyli innemi słowy, by mogli dzięki temu zatrzeć nieco przyostre rysy charakterystyki, — przytoczę kilka dat z życia genjalnego zwycięzcy z pod Wiednia.

Zacznę też od owego otoczenia, a raczej od tej z pośród niego, którą niezrównany pogromca Turków, serdecznym sentymentem wiedziony, nazywał „jedyną duszy i serca pociechą", a do której, jak do żadnej innej, w całej pełni można zastosować trafne i ironją zaprawne powiedzenie Ignacego Krasickiego: „My rządzim światem, a nami kobiety".

Nie byłoby w tem zawojowaniu Jana III przez żonę nic złego, owszem, może stałoby się ono przy usposobieniu króla źródłem szczęścia, sławy i potęgi Rzeczypospolitej, gdyby tą żoną była kobieta o sercu, rozumie i harcie woli jego matki, Teofili z Daniłłowiczów, która, jak polska Spartanka, od niemowlęctwa wrażała synom swoim spiżowe słowa na marmurze grobowca hetmana Żółkiewskiego wyryte: O, quam dulce et decorum est pro pratria mori (O, jak słodko i zaszczytnie jest umrzeć w obronie Ojczyzny) i na wzór znanego powiedzenia*) matki-Spartanki mawiała do synów z okazji sromu piławieckiego „Gdyby tak który z synów moich miał ujść z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna", — lub gdyby tą żoną była niewiasta podobna posągowej babce Sobieskiego, hetmanowej Reginie Żółkiewskiej. Ale, niestety, los nielitościwy wepchnął go w objęcia kobiety nawskroś złej, przez robactwo najpodlejszego samolubstwa i ambicji żywcem, na jawie i we śnie, toczonej, urodzonej intrygantki, nie gardzącej żadnym środkiem, gdy zdawał się szczeblem, zbliżającym ją do upragnionego celu: zapewnienia swej rodzinie blasku i pieniędzy, kobiety, nie kochającej męża, acz przez niego wręcz ubóstwianej, a na dobitkę kobiety, obcej Polsce urodzeniem, wychowaniem, sercem i myślą; z chwilą zaś kiedy to się stało, a stało się to na wiele lat przed ożenieniem się Sobieskiego z piękną Marysieńką, linja, po której przyszły król pójdzie jako obywatel i polityk, została na stałe wytknięta i zadecydowana.

Przez Marysieńkę wciąga go w sidła swej niecnej polityki królowa Ludwika Marja, Marysieńka — za poduszczeniem tejże królowej — wpływa nań, by porzucił Polskę, w której obronie dziad jego i brat gardło daje, i wyjechał do Francji, ziemi obcej, i omal tego na nim nie osiąga,—ona go wprzęga w rydwan

*) Z nią (tarczą) albo na niej.

---

głośniejszem echem ozwały się potyczki pod Kopiną, Wólką Bachowską, w lasaoh olchowickich i kilka pomniejszych".

„W marcu powstanie ledwie tlało... W dniu 24 marca ogłoszono urzędownie o zupełnem uśmierzeniu powstania w Lubelskiem"[1].

Zaczęło się teraz krwawe żniwo ucisku i najwyszukańszych szykan tych społeczeństwa polskiego warstw, które chorągiew walki za wolność, całość i niepodległość Ojczyzny, „za naszą i waszą wolność" podniosły i wysoko ją, mimo najtrudniejsze warunki, mimo beznadziejność sprawy, zwyż rok dzierżyły. Zaczęły się masowe aresztowania, a potem, po nieludzkich badaniach i sądach, masowe zsyłki do rot aresztanckich, na osiedlenie, do katorgi. Konfiskowano majątki, kolonizowano je ruskimi „mużykami". Urzędników Polaków przeniesiono w głąb Rosji. Słowem zaczął się sąd ostateczny dla Królestwa i ziem zabranych, skutkiem którego w samem Królestwie wyrwano z pod ojczystego nieba około 32.000 najenergiczniejszego żywiołu, a skonfiskowano 1660 majątków osób, biorących udział w powstaniu.

Nadto mnożyły się egzekucje jedna za drugą, poprzedzane wyszukanemi katuszami. Najszlachetniejsi ludzie zawiśli na szubienicy. Bicie rózgami i nahajkami było na porządku dziennym; bił, kto chciał, kogo chciał, gdzie chciał i kiedy chciał. Nawet skazańców czasem bito tuż przed egzekucją, jak to było w Grójcu, gdzie Sygajtysowi, dowódcy żandarmerji narodowej, kazał Sokołow wymierzyć przed śmiercią 50 nahajek. Nawet kobietom ciężarnym nie przepuszczano; komisarz Rydzewski — zaprzaniec, zasmagał na śmierć taką kobietę. Żony uwięzionych i skazanych zmuszano brać udział w balach, urządzanych przez naczelników powiatów i generałów; gdzieniegdzie posuwano się do tego stopnia zwierzęcości, że kazano na salę balową wprowadzać zakutych w kajdany więźniów, by patrzyli, jak tańczą z ich żonami i córkami rozpasani, opici oficerowie rosyjscy!...

Prócz tych udręk, godnych Nerona, wymyślano rozmaite dzikie, a godne tego degenerata dokuczliwości, jak np. w Krasnym Stawie pod groźą kontrybucji wojennej kazano wszystkim obywatelom powiatu — ogolić wąsy[1]).

* * *

Taki był epilog powstania styczniowego w Krasnostawskiem. — Oczywiście nie brak tu było i udręk „w większym stylu", lecz książka, którą się posługujemy, nic nam o nich nie wspomina. Godziłoby się jednak przypomnieć mieszkańcom naszego powiatu, jak te sprawy wyglądały u nas, godziłoby się wogóle, by świadkowie owych bohaterskich zmagań z ciemięzcą z przed 62 lat opowiedzieli młodszemu pokoleniu dzieje niezrównanej partyzantki na obszarze powiatu krasnostawskiego, by utrwalili na piśmie opowiadane wśród ludu o czynie styczniowym legendy, śpiewane przez lud o bohaterach tego czynu pieśni, — by wreszcie uświadomili społeczeństwo nasze powiatowe o stanie mogił, kryjących święte „straceńców" 63 roku szczątki i wskazali miejsce wiecznego spoczynku jednego z najszlachetniejszych, lekarza Rusina, Dra Neczaja.

Niech dowie się podrastające pokolenie, jakich to miało dziadów, niech się nad tem zaduma, niech obrzuci kwieciem zapomniane mogiły, niech się dowie, co pozostało z tych krwawych dni klęski i chwały, co ma z niedawnej przeszłości czcić i naśladować, a czego się wstydzić i kajać — bo i takie tu u nasz rzeczy były — niech w 62 rocznicę powstania obudzi się kult dla jego u nas organizatorów i uczestników, by w następną rocznicę, 63-cią, wydać trwałe owoce w postaci: uczczonych mogił, uczczonych żyjących jeszcze uczestników i wydania monografiki ówczesnych zmagań naszego powiatu z barbarzyńskim najeźdźcą moskiewskim.

M—w.

[1]) Str. 330.

[1]) Str. 342.

naprzód polityki Ludwika XIV, dopóki ma widoki na uzyskanie od tego króla dostojeństw i bogactw dla swego ojca i brata, a potem, podrażniona na króla wskutek nieziszczenia jej planów rodzinnych, wpycha do obozu wiarołomnych Habsburgów, by wkońcu swojemi intrygami, oburzyć cały naród na swego męża, narazić go na spiski, groźbę detronizacji, a kiedy ten będzie już znękany życiem, by go zostawić swemu losowi.

Słowem: Marysieńka była złym duchem i przekleństwem tego prawdziwego lwa Lechistanu. (Dok. n.).

M—w.

ECHA PRZERWANEJ STRUNY.

M—w.

SAMOTNA GRUSZA.

I.

W ciasnem podwórku miejskiem, przez los tam rzucona,
Rosła samotna grusza, biedna drzew sierota,
Nie wiedząc, czem pól tchnienie, czem swoboda złota,
Czem czar sadów zielonych, gdzie rodzinna strona.

O tem tylko wiedziała, że z tęsknoty kona
Za słońca promieniami, które mur-despota
Zasłaniał jej swem cielskiem; lecz ją ta golgota,
Miast zabić, nauczyła, że prężyć ramiona

Trzeba jej wciąż ku słońcu, ponad domów szczyty.
Jakoż je wnet przerosła i odtąd już stale
Kąpała się w promieniach, patrzyła w błękity.

Bywa tak i wśród ludzi; lecz iluż z nich fale
Pierwszej trudności znoszą, jak statek rozbity?
Ilu się im poddaje — bezwolnie, ospale?...

II.

Gruszo moja samotna, wygnanko ogrodu!
Ilekroć spojrzę na cię, djadem twej korony,
Gdy ją ozdabia owoc złotawo-czerwony,
Odczuwam i przyjemność i coś z zimna lodu.

Bowiem mogłaś nie istnieć, zniszczona za młodu
Czy to ręką psotnika, czy przez mrozu szrony.
Któż bowiem cię piastował, kto dbał, by szalony
Mróz cię nie smagał biczem, byś nie zmarła z głodu?

Gruszo moja samotna! Jakżeś mi jest bliska,
Jakżeż twoja jest mojej podobna kolei!
Gruszo moja kochana! Serce mi się ściska,

Gdy wspomnę, iż ja również wśród ciężkiej zawiei
Przebijałem się, z ojców wyszedłszy ogniska,
Samotny, bez opieki, często bez nadziei!...

Kwiaty myśli.

Stan nauczycielski powinien być zbiorem samych tylko ludzi zdatnych, pracowitych i świętością swego powołania przejętych, wszystkim innym wstęp do tego stanu być powinien zamknięty na zawsze.

— — — — — —

Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody: pracą wszystkie się utrzymują, kwitną i bogacą.

— — — — — —

Doskonalenie i zbogacenie języka narodowego być powinno walnym i literatury i wszystkich prawie nauk zamiarem: bo język narodowy jest najdzielniejszem i jedynem narzędziem do rozprzestrzenienia światła umiejętności, a nawet najpewniejszą skazówką a miarą oświecenia krajowego,

— — — — — —

Rozważając to, czegoście się nauczyli, pomyślcie nad tem, czego jeszcze nie umiecie. Głęboka nad tem uwaga stawi wam przed oczyma rozległą jeszcze niewiadomości przestrzeń, która wam skaże potrzebę doskonalenia się i pracy; nauczy was być skromnymi, uleczy was od sromotnej wady niedouczonych półmędrków, którzy przysionek nauk biorą za ich granicę, a szczupłe zapasy swych wiadomości za wszystkie rozumu ludzkiego zdobycze i skarby. Im więcej zagłębiamy się w naukę, tem więcej uczymy się pojmować, jak nam wiele brakuje.

— — — — — —

W dochodzeniu prawdy stąpamy po rozstawionych sidłach błędu.

Z Pism Jana Śniadeckiego
przepisał *M—w.*

Przebłyski.

Życie ludzkie to większa, lub mniejsza tablica,
Której szare tło czynów spis urozmaica;
Szczęśliw, kto ją zapisze złotemi głoskami,
Lecz biada, kto tablicę czyny swemi splami.

*

Człowiek, jak barwny motyl, póty skrzydłem świeci,
Póki słońca młodości; lecz gdy ta uleci,
Naprzód sczezają barwy, potem więdną skrzydła:
Człowiek przybiera postać ćmy nocnej—straszydła.

*

Nie dziw, że człowiek ciągle upada i błądzi,
Lecz dziwne, gdy sam błądząc, ostro innych sądzi.

*

Przyjaźń od nieprzyjaźni straszna przepaść dzieli;
Jednak ją przeskakują przyjaciele — śmieli.

*

Starzyśmy, czyli młodzi, psocimy, jak dzieci,
Z tą różnicą, że starszych psoty rozmysł szpeci.

*

Świat jest jak wielki hotel, ludzie jak podróżni.
Stąd mało co ich łączy, a tak wiele różni.

*

Człowiek, co wszystko stracił, straty się nie boi.

M—w.

Drukarnia Sejmikowa w Krasnymstawie. Redaktor: Mieczysław Krukiewicz.